Nr 23. Kraków, 4 Czerwca 1892. Rok II.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Pijarska Nr. 5.

KRAKUS

Prenumerata wynosi.

w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Zielone Świątki.

Dnia dziesiątego po Wniebowstąpieniu, a 50go po Zmartwychwstaniu Chrystusa Pana obchodzi Kościół Boży uroczystość Zesłania Ducha św. na Apostołów. Zowie się ta uroczystość „Zielonemi Świątkami“, ponieważ obchodzi się w tej porze roku, kiedy drzewa i pola pokryte są świeżą zielonością i kwiatami, których lud do ubrania świątyń i domów podczas tych świąt używa.



Dzieje Apostolskie tak nam opisują zstąpienie Ducha św. na Apostołów: „Gdy się spełniały dni 50, zebrali się Apostołowie w wieczerniku. Podanie głosi, że była też między nimi i Najśw. Marya Panna. Gdy się modlili, stał się zprędka z nieba szum, jakoby przypadającego wiatru gwałtownego i napełnił wszystek dom gdzie siedzili. I ukazały się im rozdzielone języki jakoby ognia i usiadł na każdym z nich z osobna. I napełnieni byli wszyscy Duchem św. i poczęli mówić różnemi językami, jako im Duch św. wymawiać dawał“.

W kilku tych słowach opisany jest i sam cud, a także i skutki jego. Apostołowie dotąd prostaczkowie, oświeceni teraz łaską Ducha św. poczęli rozmawiać różnemi językami, a nadto — jak czytamy dalej w *Dziejach Apostolskich* — pozbyli się trwożliwości wszelkiej, wyszli z wieczernika i poczęli śmiało głosić naukę Pana Jezusa, wszyscy zaś, co ich słuchali, zdumiewali się i pojąć nie mogli, co się stało z uczniami Chrystusowymi.

Apostołowie na podziękowanie za to wielkie dobrodziejstwo ustanowili na wieczną pamiątkę uroczystość Zesłania Ducha św.

Dzień ten, tj. 50ty po Wielkiejnocy był także uroczysty u żydów; ich Świątki przypominały im tę chwilę; kiedy to Pan Bóg przez Mojżesza dał im na górze Synai prawo, czyli dziesięcioro przykazań, wyryte na kamiennych tablicach; nasze zaś Świątki przypominają nam prawo Nowego Zakonu, które Duch św. wyrył na sercach wiernych, napełniając ich znajomością i miłością Boga.

Żydzi ofiarowali tego dnia chleby z pierwiastków nowego żniwa, podobnie też Apostołowie ofiarowali w tym dniu pierwsze owoce duchownego żniwa, bo Piotr św. nawrócił trzy tysiące żydów.

Uroczystość Zielonych Świątek obchodzono dawniej przez trzy dni, dziś tylko przez dwa dni, podczas których wierny katolik powinien prosić Ducha św., aby zawsze umysł jego oświecał, serce miłością Boga napełniał, i przez Swe dary sprawił zbawienną życia odmianę.

Ks.

Nasze dzieje w ostatnich stu latach.

III.

Królestwo Polskie (Kongresowe).

Po upadku Napoleona znowu Polska nie wiedziała, co się z nią stanie. Większa część ziemi była w ręku cesarza rosyjskiego, który ją wojskiem swojem zajął. Dalszy los nie zależał od nas, ale od mocniejszego; od woli tego kto miał siłę, i mógł robić co chciał.

Kiedy w Wiedniu monarchowie i ich ministrowie zjechali się na kongres, i radzili o tem co komu miało być oddane albo przyznane, o mało że nie powaśnili się z sobą na dobre o Polskę. Cesarz rosyjski Aleksander Pierwszy chciał całą Polskę zagarnąć i z Rosyą ją na zawsze połączyć, jako królestwo niby osobne, ale z cesarzem rosyjskim za króla.

Wszystkie inne państwa europejskie nie chciały na to pozwolić. Austrya bała się stracić Galicyę, a prócz tego bała się żeby ten sąsiad potężny nie stał się jeszcze potężniejszym, i dla niej niebezpiecznym. Prusy bały się także utraty Wielkopolski. Inne państwa, Francya i Anglia, mówiły że cała Polska niepodległa i pod swoim własnym królem byłaby im bardzo na rękę: ale na całą Polskę połączoną z Rosyą zgodzić się nie chciały, bo Rosya przez to zanadto by się powiększyła i wzmocniła. Aleksander zaś ustąpić nie chciał; groził nawet wojną. Mówił: spróbujcie mi odebrać to co trzymam! Wojny nikt nie chciał, a każdy się bał. Dość mieli wojen, i nieszczęść, i kosztów, za Napoleona. Ustąpili więc Rosyi dużo, a ona znowu ustąpiła trochę, i zgodzili się tak, że Austrya miała zachować tę część Polski którą zajęła przy pierwszym rozbiorze w roku 1772, czyli Galicyę. Prusy zachowały Poznańskie i dawne Prusy królewskie z Toruniem i Gdańskiem. Reszta zaś tego kraju, który za Napoleona nazywał się Księstwem Warszawskiem, przypadła do Rosyi. Było to Mazowsze z Warszawą, województwo Płockie, część Kujawskiego, Kaliskiego i Sieradzkiego od Prus, od Austryi Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie. O Kraków były długie układy i targi; każdy chciał go mieć, a nikt nie chciał ustąpić drugiemu. Zgodzono się więc na to, że miasto z małym okręgiem kilkunastu mil, zostanie *wolnem Miastem*. Czyli, że będzie niepodległą małą Rzecząpospolitą, rządzoną przez swój własny rząd i swój senat, ale pod opieką trzech państw sąsiednich. Granicą była od Austryi Wisła; od Rosyi jak dziś Cło, Michałowice, Węgrzce; od Prus, także jak dziś Szczakowa, Chrzanów, Bobrek.

Tę zaś część dawnego Księstwa Warszawskiego które dostały się Rosyi, nazwano *Królestwem Polskiem*. A że to postanowione było na owym kongresie (wiedeńskim), więc my Polacy w potocznej mowie zaczęliśmy to nazywać, i do dziś dnia nazywamy, *Królestwem kongresowem*, dla odróżnienia od dawnego Królestwa Polskiego.

PRZEBACZENIE.

(Przez Sta.)

(Ciąg dalszy).

Niedostatek zaczął dokuczać na dobre; młody małżonek nie tail się już teraz przed Józią ze swojem prawdziwem usposobieniem; biedna kobieta płakała i łamała ręce, poznawszy lepiej męża, jego hulaszcze i rozwiozłe życie. Gorąca miłość dla żony gdzieś się ulotniła i biedna Józia poznała po niewczasie, że człowiek bez wiary i bojaźni Bożej niezdolny jest do jakichkolwiek szlachetnych uczuć.

Gdy do tych utrapień dodamy jeszcze wyrzuty sumienia, tęsknotę za rodzicami, brak o nich wiadomości, boleść, że ona jedyna córka takie wielkie zmartwienie im sprawiła, zrozumiemy łatwo, co się działo w duszy Józi, jakie przechodziła udręczenie, jak bliską była rozpaczy.

Szczęście, że religijne wychowanie wpoiło w duszę młodej kobiety silną wiarę i niezachwianą ufność w miłosierdzie Boże. Ku Bogu też zwróciła się Józia całą duszą, błagając w serdecznych modlitwach o nawrócenie męża i pociechę dla rodziców.

Niezmiernej więc doznała radości, gdy przed kilku miesiącami doniósł jej Janek, że odszukał rodziców i przyrzekł wręczyć im wszystkie jej listy. Ale któż opisze boleść biedaczki, gdy w dwa tygodnie później odebrała od Kruszyńskiego zimną, krótką wiadomość, że wszystkie usiłowania przeproszenia rodziców na nic się nie zdały, że matka dawno przebaczyła, ale ojciec słyszeć o córce nie chce.

Gdy ochłonęła z pierwszej boleści, zdziwiła się, że Janek tak krótko, obojętnie pisze, że nawet nie donosi, gdzie rodzice mieszkają, czy zdrowi, co porabiają; widocznie — myślała sobie — zakazali mu pisywać do mnie i donosić o sobie. Tak oziębłego listu nie otrzymała nigdy od swego przyjaciela, brata prawie. Zdaje się, że w domu rodziców nabrał Kruszyński jakiejś niechęci, nieprzyjaźni dla niej. Teraz nawet tę pociechę, jaką były listy Janka mówiące o rodzicach, utraciła. Serce Józi zamierało z boleści, postanowiła przecież nie odzywać się już nigdy do Janka, smutek swój ofiarowała Bogu za popełnioną winę, za nawrócenie męża i całą duszą zajęła się wychowaniem dzieci i pracą

Cesarz Aleksander zobowiązał się traktatem wiedeńskim że temu nowemu królestwu nada konstytucyę (to jest że nie będzie rządził samowładnie, tylko z sejmem i senatem). Dalej przyrzekał że cały rząd, wszystkie urzędy, będą w rękach Polaków. Dalej, że wojsko polskie będzie od rosyjskiego osobne, pod swoimi dowódcami i oficerami, z polskiemi sztandarami i polską komendą, w swoich osobnych mundurach. Stanowił zarazem, że to królestwo ma być nazawsze i nierozerwalnie połączone z Rosyą; każdy cesarz rosyjski ma być tem samem królem polskim, i nosić ten tytuł.

Cesarz austryacki i król pruski zobowiązali się także traktatem wiedeńskim szanować prawa narodowe swoich poddanych polskich, to jest zostawić im wolne używanie swego języka we wszystkich urzędach, sądach i szkołach; zostawić ich tem czem ich Pan Bóg stworzył, a nie starać się przerobić na co innego — na Niemców.

Cesarz Aleksander kiedy ustanowił Królestwo kongresowe, powtarzał wszystkim Polakom, że rozbiór ich ojczyzny uważa za niegodziwą zbrodnię, że sam nie byłby się tej zbrodni nigdy nie dopuścił; że tego co się stało odrobić już nie może, ale chce przynajmniej w miarę swojej możności naprawić występek swojej babki Katarzyny. Dlatego nadaje Polakom wolność, i byt narodowy pod swojem berłem. A gdy go pytano co zrobi z krajami dawniej na Polsce zabranymi, z Litwą i z Rusią, odpowiadał że nie może zaraz ich z Królestwem połączyć i za kraj polski ogłosić, bo jego właśni poddani wzięliby mu to za złe, ale że pragnie wszystkie dawne kraje polskie w przyszłości razem złączyć, i temi samem konstytucyjnemi prawami rządzić.

Czy Aleksander był szczery w tem co mówił? czy naprawdę uważał rozbiór Polski za zbrodnię? Trudno to wiedzieć; bo był bardzo przebiegły i chytry, a prócz tego zmienny w swoich myślach i zamiarach. Zupełnie nieszczery nie był, i jakieś dobre zamiary względem Polski miał. Mógł był zgubić ją i oddać na pastwę swoim wojskowym i urzędnikom, a tego nie zrobił, tylko nam jakiś byt znośny zostawił. To dowodzi, że nie był bez sumienia i bez dobrych uczuć. Ale z drugiej strony mniej mu chodziło o dobro Polski i o to co się godzi albo nie, jak o korzyść ogromną jaką Rosyi przez to królestwo zapewniał. Zyskała ona duży, piękny, ludny kraj, przez którego przyłączenie przybliżyła się znacznie do środka Europy; a ztamtąd już mogła wojskiem swoim grozić komuby chciała. Prócz tego dostawała się w bliskie sąsiedztwo Słowian pod panowaniem austryackiem; a stała myśl i chęć wszystkich cesarzy rosyjskich była (i jest zawsze) ta, żeby wszystkich Słowian pod swoje panowanie zagarnąć jak się po temu sposobność nadarzy. Nadając zaś Polakom konstytucyjne wolności, i zostawiając im prawa narodowe, Aleksander zyskiwał jeszcze sławę szlachetnego, wspaniałomyślnego człowieka i monarchy, co dla jego miłości własnej, dla jego dumy, bardzo było miłem.

Ale czy on był szczery albo nie, czy nam naprawdę chciał dobrze, czy tylko udawał, mniejsza o to,

---

na ich wyżywienie, bo Robaszkiewicz nic nie zarabiał, agitując coraz zawzięciej.

Od tygodnia już go nie było w domu i żadnej nie miała o nim wiadomości. Doznawała jakiegoś niepokoju i obawy, jakby ją jeszcze cięższe czekały ciosy.

Szczebiotanie dzieci, bo i mała Dorotka przyciągła za braciszkiem, ukoiło trochę smutek Józi i z nowym zapałem zabrała się do szycia, gdy naraz posłyszała liczne głosy na wschodach, ostrożne i ciężkie stąpania, a wreszcie silne pociągnięcie dzwonka.

Wybiegła otworzyć i ujrzała z przerażeniem dwóch mężczyzn w bluzach, jakie zwykle robotnicy noszą, dźwigających na ręku jej męża i jakiegoś małego i niemłodego człeka, który szedł za nimi, powtarzając:

— Ostrożnie tam, ostrożnie przez próg! A do licha, bracia! jakże go trzymacie? słowo honoru, że go upuścicie!

Ujrzawszy zaś Józię i widząc jej okropne przerażenie, jął prawić:

— Kłaniam się, kłaniam uniżenie, wszak to mam zaszczyt mówić z panią Robaszkiewiczową? A najniższy sługa! Choć nie miałem dotąd zaszczytu znać osobiście, jednakże, wszelako....

— Na Boga! Cóż się to stało memu mężowi? — zakrzyknęła Józia w najwyższej trwodze, przerywając to długie powitanie.

— Zaraz piękna pani, zaraz; doprawdy, gdyby nie taka smutna okoliczność, radbym, za największe poczytałbym sobie, poznać....

— Cóż to za nieszczęście się stało? Gdzie i kiedy, zkąd przybywacie?

— Pozwoli szanowna pani, najprzód mam zaszczyt rekomendować się, jestem Filip Konopka, i doprawdy za szczęście poczytuję to sobie, że rodakiem jestem, bo także, chwała Bogu, Górnoszlązak a do tego....

— Ależ zmiłuj się pan, czy niebezpieczeństwo jakie grozi memu mężowi? może potrzeba wezwać doktora? — przerwała znowu Józia, która jak nieprzytomna słuchała małego człeka, nie wiedząc co się z nią dzieje.

— Zaraz moja piękna pani, zaraz, ale przedewszystkiem cierpliwości, bo to tak raz, dwa, trzy nie idzie. Wszelkiemi objaśnieniami służę, tylko....

Tymczasem położono chorego na łóżku, gdyż cała powyższa rozmowa toczyła się podczas wnoszenia Robaszkiewicza i przysposobienia mu łóżka.

skoro to co zrobił miało w sobie rzeczywiście dużo dobrego. Dla narodu który swoją niepodległość utracił, rzeczą jest nader ważną i wielkiem szczęściem, zachować swoje prawa, swój język, i swoich ludzi w rządzie. Przez to wszystko bowiem taki naród zachowuje swoją odrębność i zostaje sobą: a jeżeli się dobrze rządzić i roztropnie zachowywać umie, to może przez to wszystko dojść do wielkiej siły, i do swego dawnego stanu i znaczenia powrócić. To wszystko zaś dawał nam Aleksander. Sejm, senat, rządy w rękach Polaków; skarb, wychowanie, wszystkie sprawy publiczne zawiadowane przez swoich; a nadto jeszcze dawał nam to, o co w kraju podległym zawsze najtrudniej — własne wojsko.

Cokolwiek więc on w głębi serca myślał i chciał, zawsze nie możemy zaprzeczyć, że zrobił nam wiele dobrego. My powinniśmy byli pilnie z tego korzystać, postępować roztropnie, żeby nie utracić nic z tego co nam w ręku zostało, żeby owszem przyrabiać to i pomnażać. Mieliśmy zaś w ręku warunki i środki po temu, żeby pomału róść w siłę, i stać się na nowo wielkim narodem.

Na nieszczęście to Królestwo Kongresowe które Aleksander utworzył, miało w sobie i około siebie niebezpieczeństw tak wiele, że była rzecz prawie niepodobna, iżby mogło było długo w spokoju ostać, i trwać.

Pierwszem takiem niebezpieczeństwem była nienawiść i zazdrość, z jaką Rosyanie na to Królestwo patrzali.

Uważali oni Polskę za kraj podbity, swój własny, Polaków za swoich poddanych a prawie za niewolników, i wydało im się to upokorzeniem i krzywdą, żeby ci poddani Polacy mieli swoją konstytucyę, swój sejm, swoje wolności, a oni, Rosyanie, żeby byli rządzeni samowolnie przez cesarza. Nie mogli więc Aleksandrowi tej konstytucyi polskiej przebaczyć. Oprócz tego mieli mu za złe, że Polakom narodowy byt zostawił; mówili że Polacy jak tylko do sił przyjdą, to się zaraz od Rosyi oderwą, i ona straci tą wielką potęgę, to wielkie znaczenie w świecie, jakiego przez rozbiór Polski nabrała. Cesarz rządzi w Rosyi samowładnie; jak on co postanowi to nikt sprzeciwić się nie śmie. Więc i Rosyanie siedzieli cicho; otwarcie nie szemrali na cesarza; ale pokryjomu a chytrze i bardzo zręcznie, starali się odrobić to co on w Polsce zrobił. Wielcy urzędnicy państwa przestrzegali go pokornie, że naraził Rosyę na wielkie niebezpieczeństwo. Ich podwładni, szpiegowali i donosili wszystko co się w Polsce działo, rzecz najmniejszą wystawiali jako groźną, żeby cesarza przestraszyć i od Polaków odstręczyć. Polacy znowu, którzy o tem dobrze wiedzieli, powinni byli zachowywać się bardzo roztropnie i ostrożnie, żeby tym donosom i skargom żadnego pozoru prawdy nie dostarczyć. A u nas na nieszczęście o roztropność i ostrożność trudno. Królestwo kongresowe mogło było się utrzymać, gdyby Rosyanie byli mieli dużo szlachetności i dobrej woli,

---

— Bądź spokojna — szepnął teraz chory, ściskając rękę żony.

— Powiedz, na Boga, co ci jest? tu krew na opasce, czy jaki przypadek?

Lecz nim biedak zebrał się na odpowiedź, a mały jegomość trafił do ładu ze swemi myślami, jeden z robotników, którzy przynieśli rannego, rzekł:

— To proszę pani stało się wczoraj na zebraniu w M. Policyanci wkroczyli, chcieli aresztować, zebrani się bronili, przyszło do pałasza i zraniono pana. Lekarz jeszcze wczoraj opatrzył rany i nakazał spokojne leżenie; ale pan koniecznie chciał jechać, tak my go przywieźli koleją.

Józia nie zdołała jeszcze słowa wymówić, gdy znowu Filip Konopka zaczął:

— Tak, miła pani, radość dla niej nielada, bo oto masz przed sobą męczennika za świętą sprawę, on się poświęcił za braci....

— Co to pan nazywasz świętą sprawą? — zakrzykła Józia oburzona — co socyalizm zrobił dla ludu dobrego? wydarł mu skarb najdroższy, bo wiarę świętą, a wzamian przez urządzanie strejków, zaburzeń przysporzył nędzy, niedoli i łez.

— A! to, to, pani widzę....

— Daj pokój — przerwał Robaszkiewicz — żona moja ma racyę. Józiu ja cię chciałem prosić....

Ale tu znowu Filip przerwał choremu i długo prawił jeszcze, wychwalając socyalistów, nim strapionej kobiecie udało się nareszcie wyprawić go za drzwi. Robaszkiewicz czekał tylko tego, bo rzekł pospiesznie:

— Dziwny sen miałem dziś w nocy; moja nieboszczka matka przyszła niby do mnie i groziła mi gniewem Bożym. Kto wie, co ze mną będzie? Józiu zawołaj mi księdza.... Ciężko mi, bardzo ciężko, ale Bóg miłosierny.

Uczucia niewysłowionej radości a zarazem i trwogi wstrząsnęło sercem Józi. Więc mąż jej chce pojednać się z Bogiem, chce się spowiadać? A wiedziała, że nie czynił tego od czasu, gdy porzuciwszy rodzinną ziemię, poszedł pomiędzy obcych szukać szczęścia, lecz z drugiej strony czyż czuje się tak słaby, że myśli gotować się na śmierć.

— Jakże się czujesz mój kochany? — spytała drżącym głosem — możeby także zawezwać doktora?

— Nie, nie, najpierw księdza, potem pogadamy. Ale podaj mi pierw to oto tam lekarstwo.

a Polacy dużo roztropności, zręczności, i mocy nad sobą. Ale jedni i drudzy nie mieli tych przymiotów, i Królestwo Kongresowe trwało przez lat tylko piętnaście.

Od pierwszej chwili zaś jak je cesarz Aleksander ogłosił, już się pokazały różne złe znaki; zdarzyły się rzeczy, które w Polakach musiały wywołać niedowierzanie, nieufność, potem niechęć, a wreszcie im dalej tem większą nienawiść do rządu rosyjskiego.

(C. d. n.)

Pogawędka.

Przyszedł do mnie Wojciech i pyta:

— Moiściewy dobry panie, wytłómaczcie mi jedną rzecz. Nie gniewajcie się na moje natręctwo, ale gdzież pójdę po objaśnienie jeżeli nie do was? A że już nieraz udzielał mi pan dobrej rady, więc proszę mi wytłómaczyć i dzisiaj, co znaczą te słowa, które *Wieniec* z dnia 21 maja 1892 r. wypisał wielkiemi czcionkami na str. 120: „Dzisiaj najniewinniej, najuczciwiej można wpaść w kłopot".

— Widocznie uczepił się ktoś niewinnie w jakiejś sprawie *Wieńca* — odrzekłem — ztąd rozżalony skarży się na niesprawiedliwość.

— A jakżeż to można napadać na niewinnego i czepiać się go złośliwie?

— Ot, widzisz przyjacielu, źli ludzie są zawsze na świecie. Spokojnie żyć, nudzi się im, więc szukają napaści. Gdy nie mają zaczepić o co, chwytają się kłamstwa i przewrotności. Tak zrobił wilk, gdy chcąc pożréć owcę, pijącą wodę poniżej w potoku, powiedział, że mąci mu ona wodę. A wilk stał w górnej części potoka, więc on to właściwie mącił wodę, którą piła owca. Aby usprawiedliwić swój napad swój, chwycił się kłamstwa. W tym samym numerze *Wieńca* z 21go maja pokażę ci dowód takiej złośliwości ludzkiej. Oto jakiś niby *Ludwik B.* uczepił się w swym liście na str. 113 wydrukowanym, gospodarza Zawieruchy ze Sosnowa za jego list napisany do *Krakusa*, w którym zaleca on gospodyniom czystość i porządek domowy. Powiada, że staje on niby to w obronie gospodyń polskich, ale w pisaniu jego nie masz tu żadnej ich obrony, ale same kłamstwa i oszczerstwa rzucone na Zawieruchę, na dwory, na panów, panie i na *Krakusa*. Ludwikowi temu zawadzają dwory, panowie, panie i *Krakus*, jak wilkowi w bajce zawadzała owca, aby więc na nich złość swoją wylać, skoro ich niestety pożréć, ba, nawet ukąsić nie może, więc chwyta się pozoru, że on chce bronić gospodyń polskich. Chce bronić gospodyń polskich, ale polskie dwory szkaluje. A nasi panowie i panie, czyż nie są gospodarzami i gospodyniami polskiemi dlaczegóż jednak z wilczą bezczelnością rzuca się na nich?

— A no, to jakiś Polak musi być szczególniejszego gatunku. Kiepski to ptak, co kala własne gniazdo.

— Wczoraj pisał do mnie Zawierucha, i pyta się,

Józia spełniła żądanie męża i pobiegła po księdza. Na szczęście był w Hamburgu kapłan Polak, który z radością pospieszył pojednać z Bogiem chorego.

Dwie długie godziny został ksiądz u chorego, a opuścił go bardzo wzruszony. Robaszkiewicz niemniej rozrzewniony zdawał się o wiele silniejszym.

— Tobie lepiej nieprawdaż? — spytała Józia ucieszona. Robaszkiewicz uśmiechnął się smutnie.

— To to lekarstwo, które zażyłem ma taką moc, że najsłabszemu na pewien czas siły wróci, daj mi jeszcze raz zażyć, bo muszę coś napisać koniecznie. Podaj mi papier, kopertę i ołówek.

Chory pisał, odpoczywał i znowu pisał, aż wreszcie zaadresowawszy list, zawinął go wraz z kawałkiem papieru w starą gazetę i rzekł:

— Włóż to w pewne miejsce i pamiętaj jutro o tym liście.

Następnie kazał sobie przyprowadzić dzieci, uścisnął je serdecznie, tak samo i Józię, a gdy ta się odwróciła, przeżegnał malców nieznacznie; poczem oświadczył, że bardzo jest śpiący, więc chciałby się spokojnie przespać. Żona poprawiła mu poduszki, chory spojrzał na nią z uczuciem, uścisnął jej rękę i zamknął oczy z westchnieniem.

Wczesny październikowy wieczór już też zapadał. Józia nakarmiwszy i ułożywszy dzieci do snu, zapaliła lampę, wzięła szycie i postanowiła całą noc czuwać przy mężu.

Upłynęła jedna i druga godzina, Józia zajrzała do chorego, spał ciągle; minęło znowu parę godzin, a ten się ani ruszył.

— Dzięki Bogu za ten sen — szepnęła uradowana kobieta — to go pokrzepi i prędzej wróci zdrowie; ach! teraz rozpoczniemy nowe życie.

Podziękowawszy gorąco Panu Bogu za nawrócenie małżonka, pobiegła myślą do ojczyzny na Górny Szląsk, tam spodziewała się znaleść rodziców. Pojadą oboje z dziećmi padną do nóg ojcu to przecie nie odepchnie ich; matka już dawno przebaczyła. A jak ich ucieszy nawrócenie zięcia, toż to był główny powód, ta jego niewiara i bezreligijne życie, że rodzice odmówili swego pozwolenia na małżeństwo córki. Rozkoszne obrazy szczęśliwej przyszłości jęły przesuwać się w myśli Józi: powoli ręce jej opadły, głowę spuściła na piersi, przymknęła powieki i usnęła.

jakiem prawem śmiał go ów jakiś Ludwik z *Wieńca* pohańbić na sławie i na honorze? Jakiem prawem śmiał napisać, że on „życie spędza w żydowskich dziurach i rąbie drzewo żydówkom“? skoro on jest zamożnym gospodarzem, u nikogo nie służył, a do karczmy nie zagląda nigdy, bo we wsi jest tylko gospoda katolicka. Jak śmiał przekręcić jego słowa, że *wszystkim* gosposiom wiejskim zarzucił brak ochędóstwa, skoro on pisał, że jest taka niejedna? Jak może w końcu być tak bezczelnym, robić mu zarzuty z tego, co sam niżej przyznaje, mówiąc, że dzieciom dają gospodynie łyżki do zabawy, że dają psom jeść z misek, że przy robotach muszą się powalać? Skoro więc on pisał prawdę, za co nań niewinnie napada? — Otrzymawszy taki list, zgadnij Wojciechu, co odpisałem Zawierusze?

— Zkądbym ja to mógł zgadnąć!

— Oto kazałem mu przewrócić ten sam numer *Wieńca* aż do strony 120. Znajdzie tam słowa, które go uspokoją: „Dzisiaj najniewinniej wpaść można w kłopot“. Człek nie wie, z jakiego boku opadnie go zły nieprzyjaciel i zaczepi go niewinnie, bo za prawdę. W końcu redaktor *Wieńca* umieszczając ów list jakiegoś Ludwika, widocznie nie zgadza się z jego treścią, skoro od siebie dodaje, że między wiejskiemi niewiastami „bywa brud“, i radzi im w dodatku, aby się codzień „czesały“.

— O, toście mu panie Antoni łagodnie odpisali, ja byłbym mu inaczej poradził?

— Jakąż więc dalibyście radę Wojciechu?

— Ja napisałbym Zawierusze, żeby teraz napisał list do gazety, i w nim wykazał bezczelność owego Ludwika jego własnemi słowami. Niechby ludzie wiedzieli, że to nie jest poczciwy człowiek ale wilk; że pod płaszczykiem obrony ludu szerzy nienawiść ku innym stanom, i że taka robota nie jest polska robota ale wilcza robota. — Na pierwszej karcie *Wieńca* stoi napisano: „Boże zbaw Polskę!“ — Jakżeż ma ją Bóg zbawić, skoro Polacy między sobą żreć i zażerać się będą? A czy to mieszczan i pan nie jest takim samym Polakiem jak i chłop? Jabym mu wreszcie kazał napisać, że właśnie on, ten jakiś Ludwik nibyto, wycierać musi kąty żydowskie i wysługiwać się rąbaniem drzewa za kieliszek śmierdziuchy żydówkom, skoro je zna tak dobrze i opisuje dokładnie. O! jabym mu jeszcze dodał, że się doskonale podpisał Ludwik *B.*, bo naprawdę zrobił *be* i zbabrał się swym listem tak, że między uczciwymi ludźmi niema się poco pokazywać.

— A ja mu tego nie napiszę, bo nie chcę zachęcać go do zwady i do kłótni. Jeżeli kto zbłądzi, źle zrobi, trzeba mu wykazać jego winy i powiedzieć mu, zrobiłeś źle. Obowiązkiem jego potem poprawić się, jeżeli nie chce zostać przewrotnym.

— Cóż mu winien *Krakus*, że na niego napada?

— Widocznie nie cierpi go, jak nie lubi innych stanów, więc szuka okazyi, aby nań wylać żółć swoją. Robi mu ten zarzut, że umieścił list Zawieruchy. Skoro ludzie przysyłają listy, więc je gazeta drukuje, czyż za to potępiać gazetę? Gdzie tu rozum! Jeżeli nie podobał

Lubo to był dopiero początek października, noc była bardzo zimna, w pokoju wystygło, dotkliwy chłód przebudził Józię nad ranem. Lampa zgasła, lecz brzask poczynającego się dnia rozjaśniał pokoik.

— Ach! Boże! jakże ja długo spałam — zawołała niespokojnie i pobiegła do męża. Robaszkiewicz spoczywał głęboko uśpiony; ręce złożone trzymał na piersiach, a w palcach mały krzyżyk, który mu kapłan wczoraj zostawił. W niepewnem świetle poranku twarz chorego wydała się dziwnie blada i lodowata.

Józia dotknęła delikatnie ręki śpiącego i z przeraźliwym krzykiem padła przy łóżku na kolana; ręka zimna była jak lód; Robaszkiewicz już od kilku godzin nie żył; paraliż serca zakończył jego młode życie.

IV.

Cztery blisko miesiące upłynęły od pierwszej wizyty Janka u starego Szlązaka; wspaniałe i wonne róże dawno przekwitły i opadły; nawet jesienne kwiaty zważył wczesny przymrozek. Dziś smutne, mdłe słońce oświeca tylko powiędłe trawy i zeschłe łodygi; ścieżki i ganki zasypał wiatr pożżółkłem liściem, jakieś opuszczenie i zaniedbanie znać w ogródku, który i późną jesienią bywał zwykle starannie utrzymywany.

Torecki zaniedbuje swoje ulubione kwiaty, nie zbiera nasion, tylko jeszcze do cieplarni zagląda często, aby raz po raz przynieść doniczkę kwitnącego ziela swej poczciwej Dorocie, która położywszy się w czasie bytności Janka w ich domu, dotąd sił jakoś odzyskać nie mogła. Zmartwiony małżonek siedzi przy jej łożu i smutnie potrząsa głową.

— Tak, tak, Dorotko — mówi z westchnieniem — ciężko nas ręka Boża dotknęła, taki srom, taki srom na moje stare lata....

— Widzisz drogi mężu — przerywa chora — zawszeć to Józia nasze jedyne dziecko, choćby też najwinniejszą była, przebaczyć jej trzeba!

— Jak tu przebaczyć, kiedy żalu nie okazuje?

— Bo ty się ciągle przy swojem upierasz, a mnie się wszystko widzi, że ona nie winna w tej rzeczy.... Bój się Boga, czy to nie mógł uczynić zupełnie ktoś obcy; jak tu bez powodu własne dziecko posądzać? Mogła się zapomnieć i unieść namiętnością, ale żeby miała być nikczemną i obłudną moja córka, którą tak

mu się list Zawieruchy, mógł się rozprawić ze Zawieruchą i na tem koniec. Ów jednak Ludwik B. wyrzucił kilka przezwisk na Zawieruchę z początku, a potem może pluć na dwory, na panów, na panie i na *Krakusa*. Z takiego przewrotnego sposobu postępowania, łatwo poznać, że mu chodziło zupełnie o co innego. Jak ciało człowieka wewnątrz nagromadzi zgniliznę, to ją wyrzuca na zewnątrz w postaci czeraków, krost, bolączek i wrzodów. Podobnie gdy duch człowieka zniszczy zgnilizna moralna, to wyrzuca na zewnątrz przekleństwa, kłamstwa, oszczerstwa i t. p. brudy. Widocznie ów Ludwik ciężko na duchu chory, skoro na zewnątrz objawia tak smutne znaki.

— Tembardziej na miejscu Zawieruchy nie darowałbym mu, bo prawda i prawo byłyby za mną. Takim ludziom nie warto przebaczać.

— Owszem trzeba przez palce patrzyć na błędy współbraci. My nie mamy czasu na kłótnie i wojny Musimy pracować wszyscy wspólnemi siłami nad szczęściem narodu, więc miejmy na oku pracę a nie wojnę. Podróżny nie ogląda się na psa ujadającego, tylko idzie dalej swą drogą. Tak i my róbmy. Pracujmy dla narodu i nie oglądajmy się na tych, co na nas ujadają.

— A czemu to jakiś „Tuszowiak“ w tym samym numerze *Wieńca* radzi ludziom, aby tylko jedną gazetę *starą* t. j. *Wieńca* prenumerowali, a innych gazet żeby nie trzymać, z tej racyi, że one dopiero od kilku lat wychodzą, więc są młode.

— Nie pojmuję, dlaczego na taką śmieszność wystawił się ów Tuszowiak ze swemi radami. Przecież dlatego tylko, że któraś gazeta dłużej wychodzi, nie dowodzi już tem samem swojej dobroci. Według tej reguły wszyscy starzy liczący lat 80 byliby najlepszymi, najmądrzejszymi i najpoczciwszymi; przeciwnie ci, co liczą lat 50, mniej byliby od nich warci, a na tych, co mają 30, to już i spojrzyć nie warto. Tak jednak nie jest. Cnota i zasługa nie idą w parze z latami. Są starcy, którzy siedzą w kryminale, a są młodzi, którzy położyli wielkie zasługi. Św. Stanisław Kostka młodzieniaszkiem był, a za swą cnotę otrzymał koronę świętości. Podobnie jak o wartości człowieka nie rozstrzygają lata, tak i o wartości gazety nie stanowią lata, ale jej treść wewnętrzna. Jeżeli więc inne gazetki ludowe poczciwie pracują dla dobra narodu, należy je trzymać i popierać. Takich tylko nie należy trzymać, które są niereligijne i niepatryotyczne.

— Widzę ja z tego, że Tuszowiak chciałby jedną gazetę uprzywilejować a inne pokasować, bo powiada, że jedna tylko dobra, a reszta są złe. Potem powie, że jeden jest tylko człowiek, co umie pracować, a więcej już nikt; jeden, co jest prawdziwym patryotą, on Tuszowiak, a inni ludziska nie mają patryotyzmu za grosz; jeden tylko Tuszowiak dobrym jest, a reszta ludzi jest zła. Oto piękne samolubstwo, oto dopiero pycha!

— Mój Wojciechu, nie gniewajcie się bardzo na Tuszowiaka, bo być może, że on się tylko wyraził źle, ale tak nie myśli. Jeden człek rady nie da wszystkiemu, dlatego łączyć się powinni wszyscy i wspólną

---

troskliwie wychowałam nie, to niepodobna, ja w to nigdy nie wierzę.

— Uspokój się ino — rzekł Torecki — pisałem już po Janka, dziś tu być powinien; on nam powie, gdzie Józi szukać, bo Hamburg to wielkie miasto, a przytem naradzimy się, jak zrobić najlepiej.

Wtem drzwi się otwarły i Janek zarumieniony wiatrem stanął w pokoju.

— Jak się masz poczciwy chłopcze! — wołał Szlązak — patrz u nas smutno, matka chora, już czternaście niedziel leży.

Dorota uśmiechała się do swego wychowańca, który jej ręce całował, i mówiła:

— Ha! starość nie radość; snać czas mój już przyszedł.

— Bóg wam matko, długo jeszcze żyć pozwoli — rzekł Janek — jesień to najzdradliwsza pora dla chorych.

Kruszyński witał swoich opiekunów z radością, ale wydawał się jakiś niespojny, roztargniony. Skinął nawet na Toreckiego, chciał go wyciągnąć do drugiego pokoju, ale chora to spostrzegła, więc zawołała:

— Ej, synu, ty tam masz coś na sercu i pewnie się o mnie boisz? Zbyt trwogi, mnie już nic nie zaszkodzi. A może to od Józi jaka wiadomość?

— Istotnie.... to jest.... ale — jąkał się Janek.

— Powiedz no, powiedz odrazu i śmiało, niepewność, domysły stokroć gorsze od samego nieszczęścia.

— Odebrałem list od Józi, przysłała mi list od swego męża zaadresowany do was, prosząc, abym go wręczył rodzicom.

— List od tego.... i jabym miał czytać nowe może....

— Mężu, mężu — przerwała Dorota — pamiętaj coś mi przyrzekł.

— Bóg już osądził Robaszkiewicza — rzekł Janek smutnie — on już od kilku dni na sądzie Bożym.

Nastała długa chwila milczenia, pierwszy je przerwał Torecki:

— Daj mi ten list Janku — rzekł.

(Dokończenie nastąpi.)

ofiarę nieść dla dobra narodu. Jako kto może, niech do wspólnego dobra dopomoże. Dopiero wtedy będzie nam dobrze, gdy wszyscy pracować będziemy dla ojczyzny. *J. Antoni.*

Skutki wychodźctwa do Ameryki.

Polacy, którzy opuszczają ziemię ojczystą i spieszą za morze do Ameryki, nie tylko narażają się tam zbyt często na największą nędzę materyalną, ale nadto powoli tracą swoją piękną polską mowę i mówią potem dziwną mięszaniną z języka polskiego i angielskiego, niepodobną do niczego. Na dowód tego smutnego faktu, przytaczamy doslownie list prawdziwy, przesłany przez pewnego wychodźcę jednemu z naszych księży, przebywających w Ameryce. List ten opiewa:

Wiadomość z naszego Polishtaunu.

Polacy przy St. Stanislas Church mieszkają na jednej sqermajli. Niektórzy są dosyć bogaci, bo mają loty, brykhauzy, fremhauzy, salóny, story, grosernie, furniturhauzy i t. d. Każdy jak może prowadzi swój biznes, by się jako tako dorobić i mieć jaką taką propertę. Biedniejsi Polacy pracują w koljardach, w rolmilach, rejl-rodach, w sztujnjardach, w styl-fektrach, lómber jardach, w stryt-karach i t. d. Lómber i węgle przywożą do Chicago przez river i lejk w sztymerach. Na rejl-rodach Polacy nie lubią dżabu, bo te indżajny na trekach nieraz zabiją ludzi. W rol-milach i styl fektrach praca jest ciężka, bo tam wyrabiają wielkie blestfernery, fabrykują stylrelsy, a potem szybują je po trekach aż do trejnu lub dipot. Niektórzy Polacy pracują w tannerach, dlatego jeszcze zdaleka śmierdzą.

Wielu z Polaków są karpentrami, bryklejersami, plesternikami, pląberami. Inni są biznesmanami, bo mają grosernie, story, plodinghauzy, bekerszapy, buczerszapy, telerszapy, szu-szapy, woodjardy i t. d. W telerszapach pracują lejdys; finiszują boksy i robią kotly. W buczerszapach można dostać gotowe: romsztyki, szwancsztyki, tentelejn somersosycz. Za jednego dolara można dostać porządny foldiner. Nawet w salónach darmo dają luncz i to tyle, ile kto chce. — Polacy także mają bording-hauzy, i w nich utrzymują borciarzy, którzy w bed-romach zwykle sypiają; — po największej części są to jeszcze buby, ale to nic nie warci, bo same lofry. Lofrują po sztrytach i kornerach; chodzą na bom, fujtują się, boksują, szmokują i czują. Nie lubią pracy i często sztapują, za co bas ich ze szapów fajruje. Polskie młode buby są zepsute. Nieraz można słyszeć, idąc sztrytą, jak mały buba wola do młodszego jeszcze buby: „Daj mi meczkę, będę fejrować, zaszmokuj i ty, — albo: daj mi czu, bo chciałbym czucić, a nic nie mam do czucia.“ Lejdys zaś czują gumę i jedzą kendy. Starsze buby w każdą niedzielę zbierają się do salónów i tam po kilkanaście pajntew wypiją piwa i kilka botlów wyski. Wieczorem zaś idą do hali na densy i bale, a tam bez gademowania nie obejdzie się. — Niektórzy Polacy mają mocne tyms i halują piasek, bryks i lómber dla kontrakterów, robią przytem szur, dobry biznes. Inni pendlują na sztrytach regsy, przy czem zarabiają mony. W całem prawie mieście kursują sztrytkary i kelbkary. Do korthaucu można kelbkarą zajechać w pół godziny. W korthauzie mieszka mer miasta Waszburne i tryżurer-polak. W mieście można jeździć także bogami lub keryczą.

Brighauzy są bardzo wysokie, 15—25 sztorów. Sztryty mamy blokowane, ale nie wszystkie. Nasz kościół z pristhauzem i halą zajmuje jeden blok. Kościół, pristhauz i szkolę hajcujemy sztyrmem, bo mamy indżajnhauz. Trzy bajlery hajcują za pomocą sztympajpów, ale te bojlery wiele szmok robią, bo sztym przechodzi przez pajpy w których woda się znajduje razem ze sztymem; i ten szmok jest nieraz tak wielki, że spać nie można; wel nie bardzo to przyjemnie i ol rajt nie może być, ale co robić.

Zapomniałem dodać, pisząc o hauzach ,że bekhauzy znajdują się pod sajdwokami przy sztrytach i to jest bardzo dobrze, bo nie czuć stenks.

A teraz gut baj z pisaniem, bo nie mam tajm; chciałem tylko w tym letter dowieść, że Polacy jeszcze nie zapomnieli spiskować po polsku, a to zawdzięczać powinniśmy jedynie polskim skulom; — czyż to nie jest oł rajt? — Gut baj Ojcze.

Jeden z polsko-amerykavskich bubów,
który już jest prawie bojem.

A teraz kto mądry, niech to zrozumie!
(*Przyp. Red.*)

Wiadomości polityczne.

Z Podlasia nadchodzą nowe wiadomości o prześladowaniu chłopów unickich przez prawosławnych popów i rząd moskiewski.

Zdawało się rządowi, że jak powywozi na Syberyę wszystkich zamożniejszych i starszych gospodarzy, co to o odszczepieństwie od wiary świętej ani słuchać nie chcieli, to łatwiejszą będzie miał robotę z pozostawioną po wsiach młodzieżą, pozbawioną opieki i porady starszych, młodzieżą niepamiętającą dawniejszych krwawych prześladowań. Atoli przy pierwszej sposobności przekonali się i rząd i popi, że mylne były te rachuby. Oto bowiem, chcąc się niby przekonać o na-

bożności *nawróconych na prowosławną wiarę Unitów*, rozpoczął archirej t. j. arcybiskup prawosławny warszawski Flawijan objazd parafij i prawosławnych cerkwi na Podlasiu. Z wielką pompą miało się to odbywać, aby pokazać światu, że nowi wyznawcy prawosławia nietylko dobrowolnie ale i z radością witają swego archireja-biskupa. Ale zaraz w pierwszej parafii doznał ten carski biskup przykrego zawodu. Parafianie nietylko nie wyszli na spotkanie, ale — jakby przed morową zarazą — w las uciekli. W kościele katolikom zabranym i na prawosławną cerkiew przemienionym urządzono uroczyste nabożeństwo, ale w cerkwi prócz popów i żandarmów nikogo nie było. Rozesłano więc żandarmów na drogi, aby przechodzących chwytać i na nabożeństwo do cerkwi gwałtem ściągać. Tak się stało w jednej wsi, w drugiej i dziesiątej. Doprowadziło to prześladowców do szalonego gniewu, to też postanowili się zemścić na zacnych chłopach za ich wytrwałość w wierze i postępować z nimi tak samo, jak postępowano z ich ojcami. Rozpoczęło się już od nakładania pieniężnych kar na tych, co do cerkwi na nabożeństwo nie chodzą. Wiemy, że Moskale na tem nie poprzestaną, to też niezawodnie już wkrótce otrzymamy nowe wiadomości o nowych gwałtach moskiewskich. Oby Wszechmocny Bóg dodał otuchy i wytrwałości tym, którzy tak chętnie znoszą prześladowania za wierność założonemu przez Chrystusa Pana Kościołowi.

Wiadomo czytelnikom *Krakusa*, zwłaszcza zeszlorocznym, jakie to są stronnictwa rozmaite pomiędzy Rusinami w Galicyi. Wszelako wszystkie te stronnictwa w tem się zgadzają, że żywiąc jakąś dziwną zawiść ku Polakom, bardzo mało albo wcale nic nie troszczą się o sprawy Kościoła katolickiego i o to, aby raz położyć tamę takim wszystkim robotom najemników moskiewskich, o jakich pisaliśmy w zeszłym numerze *Krakusa*, tj. aby nie dopuścić do tego, by katolickich unickich włościan w Galicyi namawiano do porzucania prawdziwej wiary i do przechodzenia na prawosławie. Zdaje się, że koniec temu wszystkiemu położy unicki Arcybiskup ks. Sembratowicz we Lwowie, postanowił bowiem utworzyć stronnictwo katolicko-ruskie, wierne Kościołowi katolickiemu i żyjące w zgodzie z Polakami.

W Cieszynie, na Szląsku, odbyło się niedawno walne zgromadzenie Towarzystwa zwanego „Związek szląskich katolików". Towarzystwo to liczy około 1200 członków, prawie samych katolickich, polskich włościan na Szląsku, a prezesem jego jest ks. Świeży, poseł do Rady państwa, ma zaś na celu obronę spraw katolickich przed innowiercami i spraw polskich przed Niemcami. Jakkolwiek na Szląsku, zwłaszcza we wschodniej części, graniczącej z Galicyą, ludność po wsiach jest niemal wyłącznie polską, to jednak Niemcy, po miastach zamieszkali, mają tam przewagę nad Polakami i usiłują ich niemczyć, głównie za pomocą szkół niemieckich. Z tego to powodu radzono na zgromadzeniu nad sposobem bronienia się przed Niemcami i uchwalono jednogłośnie domagać się od rządu, aby założył w Cieszynie polską szkołę, w którejby uczono po polsku kandydatów na nauczycieli szkół ludowych, gdyż dzisiejsi wychowani w szkole niemieckiej często ani listu napisać nie umieją, a więc i dzieci po polsku nie uczą. Można nawet spotkać po wsiach chłopów, którzy lepiej mówią i piszą po polsku aniżeli nauczyciele.

Domagano się również, aby rząd ściśle przestrzegał wykonywania ustawy o święceniu niedzieli. Przydałoby się to i w Galicyi, gdzie wójci przepisów tych nie przestrzegają i na znieważenie niedzieli zezwalają.

NOWINY.

— **Bractwo Najśw. Panny Maryi Królowej Korony Polskiej.** Rada Bractwa N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej, składająca się ze starszego, podstarszego, 15 radców i 15 pań-opiekunek, rozpoczęła już swoją działalność. Na posiedzeniu, odbytem z końcem maja b. r. pod przewodnictwem J. E. Kardynała Księcia-Biskupa, wybrała sekretarzem p. Lippomana, kasyerem J. Wl. Fiszera, a zarazem podzieliła się na 4 oddziały, z których pierwszy ma poświęcać swoją uwagę i pracę sprawom religijnym, a szczególnie rozszerzaniu czci N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej; drugi sprawom rzemieślniczym, a szczególniej opiece nad terminatorami; trzeci i czwarty sprawom robotniczym, a szczególniej opiece nad ogrzewalniami i przytuliskami, jakoteż nad opuszczonymi chłopcami i dziewczętami. Nad wykonaniem uchwał pojedynczych oddziałów ma czuwać „komitet wykonawczy". Na posiedzeniach tychże oddziałów postanowiono: 1) wydawać parę razy w roku *Posłańca Bractwa N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej*, któryby zawierał krótkie artykuły o czci Najśw. Panny w Polsce i gdzieindziej, tudzież sprawozdania z czynności Bractwa; 2) utworzyć biuro opieki nad terminatorami, któreby pośredniczyło w umieszczaniu terminatorów i opuszczonych chłopców, a zarazem rozciągało pewien nadzór nad nimi; 3) wejść w tym celu w porozumienie z majstrami; 4) wystosować do Rady miejskiej prośbę o rozszerzenie dwóch przytulisk na Kazimierzu i o wybudowanie domu pracy tak męskiej, jak żeńskiej, iżby zapobiedz choć w części żebractwu i dać robotę tym, którzy robić mogą, do czego i Bractwo chce się według sił przyczynić; 5) zbadać położenie sług bez miejsca, szwaczek i robotnic bez zajęcia, szukać dla nich pracy lub chwilowego przytułku i dążyć do utworzenia biura opieki nad opuszczonemi dziewczętami. Zastanawiano się również nad potrzebą domu podrzutków, w celu powstrzymania coraz częstszych zbrodni dzieciobójstwa, a dla rozpatrzenia się w tej kwestyi wybrano osobną komisyę. Była też mowa o święceniu niedzieli i o urządzeniu stałego nabożeństwa w niedziele i święta dla terminatorów, w myśl wniosku Najprz. Ordynaryatu krakowskiego, przedłożonego już dawniej Zwierzchności gminnej.

Jak widoczna, poruszono wiele spraw ważnych których korzystne załatwienie zależeć będzie od życzliwego poparcia i współdziałania klas wszystkich. Rada Bractwa ma nadzieję, że ludzie dobrej woli tak w Krakowie, jak poza Krakowem ocenią należycie jej usiłowania, w najlepszym duchu podjęte, i wesprą takowe modlitwą, radą i groszem, jużto wpisując się na członków czynnych lub uczestników, jużto tworząc filie po miastach i miasteczkach.

— **Liberały krakowscy** postawili na swojem i zburzyli kościółek św. Ducha. Sławny nasz malarz Jan Matejko, chcąc uratować tę starożytną pamiątkę od zagłady, prosił osobnym listem Radę miejską, aby mu te, według nich „śmiecie“ podarowano, a on je własnym kosztem odrestauruje i zrobi sobie tam mieszkanie i pracownię. Panowie radcy nie wysłuchali atoli tej prośby, i w odpowiedzi polecono jak najrychlej zburzyć te „śmiecie“. Pan Matejko słusznie rozżalony zwrócił Radzie miejskiej dyplom na honorowego obywatela miasta Krakowa i oświadczył, że Kraków nie zobaczy już żadnego jego obrazu. Trudno zaiste pojąć, dlaczego tak się nasi pp. radcy uwzięli na ten kościółek, chyba chodzi im o to, aby w Krakowie było coraz mniej dawnych pamiątek. Powiadają, że restauracya tegoż kościółka byłaby wiele kosztowała, aleź p. Matejko chciał własnym kosztem przerobić go na swoją pracownię; twierdzą też, że taka rudera szpeciłaby cały nowy teatr, pocóż więc obrano to miejsce na teatr a nie gdzieindziej? Skoro taki los spotkał kościółek św. Ducha, to może niezadługo powiedzą pp. liberałowie, że i kościół św. Krzyża, stojący tuż przy teatrze, należy zburzyć, bo szpeci teatr. Wszystko jest możliwe w naszym Krakowie, dawniej szczerze katolickim, a dziś coraz więcej liberalnym. Z tej uchwały Rady miejskiej cieszą się pisma liberalne i żydowskie, jak n. p. *Nowa Reforma* i *Kuryer lwowski*, czemu się wcale nie dziwimy, bo one chciałyby, aby znikł wszelki ślad pobożności naszych przodków. Żydzi zaś nadto kpią sobie z opsałości katolików i powiadają: „My, jako żydzi — mówią — nigdybyśmy nie pozwolili na zburzenie bóżnicy, choćby była już tak zdezolowana, żeby nam cegły spadały na głowę. Nie! nie! Wyszłyby tysiące, wyszłyby i kobiety i dzieci dla obrony domu modlitwy, bo w takich starych świątyniach, to świat naszych przodków, to duchy ich unoszą się opiekuńczo nad naszemi głowami“.

— **Sklepy żydowskie** w Krakowie bywają dość często popołudniu w święta uroczyste i niedziele mimo ustawy otwarte, nawet na najgłówniejszych ulicach, jak np. na Floryańskiej. Z dniem każdym zwiększa się u nas panowanie żydów. W święta nasze najswobodniej używają katolickich posługaczy do przenoszenia i przewożenia mebli, w święta swoje jak n. p. w szabas nie przyjmują posyłek pocztowych, za to pocztowi urzędnicy muszą im je rozwozić w niedzielę; pod kościołami piwiarnie i szynki wódczane otwierają żydzi itd.

— **We Lwowie** odbędzie się dnia 6 czerwca wielki zjazd „Sokołów“ czyli gimnastyków polskich. Towarzystw gimnastycznych jest w naszym kraju wiele, więc spodziewają się wielkiego udziału. Towarzystwa „Sokołów“ z Poznańskiego wyślą także swoich delegatów, nadto przybywa z Czech znaczna liczba czeskich „Sokołów“.

— **Nagła śmierć.** W pobliżu Lwowa zmarł przed kilku dniami nagłą i straszną śmiercią włościanin Buczman, po wypiciu dwóch litrów wódki.

— **Śmierć wskutek poparzenia.** W miejscowości Mega, na Bukowinie, wieśniaczka Ahafia Tyczuk ułożyła się dnia 14 maja do snu na piecu, w którym jeszcze się tlił ogień. Prawdopodobnie z pieca wypadł żarzący się węgiel i wzniecił w izbie pożar. Zanim kobieta zdołała się obudzić, płomienie już ją ogarnęły i tak poparzyły, że nieszczęśliwa wybiegłszy z chaty wyzionęła ducha.

— **Pożary.** Dnia 16 maja w samo południe wybuchł pożar w Pójle w powiecie kałuskim i zniszczył do szczętu szkołę, trzy zagrody włościańskie i jeden dom żydowski.

Dnia 18go maja w samo południe wybuchł pożar w Zbarażu, który zniszczył w krótkim czasie około 30 domów. Dzielnie pracowała celem ugaszenia ognia straż pożarna, ale silny wiatr utrudniał ogromnie ratunek. Spalone budynki w większej części nie były ubezpieczone, około sto rodzin pozostało bez dachu i chleba.

— **O gospodarce** w Dobromilu piszą do *Gazety Przemyskiej*: „Skutkiem gospodarki żydowskiej i jej oddanych ludzi jest następujące zdarzenie. Przed dwoma laty, oprócz szkoły i ratusza, oddano także żydom budowę aresztów sądowych. Trwałość ich jest zupełnie podobną do trwałości tamtych budowli. Z końcem z. r. zbiegło z aresztu 3 złodziei, rozebrawszy palcami mur kładziony na mule! Obecnie zaś zbiegł jeden morderca i jeden złodziej, posługując się przy rozebraniu muru drewnianą łyżką. Spodziewać się należy, że owi zbiegli złodzieje i morderca cygan błogosławią twórców owych tak trwałych przybytków. Wszak gmina widać po to tylko zaciągnęła dług 40 tysięcy złr., aby twórcom owych gmachów napchać kieszeń“.

— **Oszustwo.** W Złoczowie wyłapano jakiegoś żyda, który wieśniakom, chcącym jechać do Ameryki, a doznającym przeszkód w otrzymaniu dokumentu podróżnego, wyrabiał fałszywe paszporty i za pośrednictwem niejakiego Baśladyńskiego z Uszni sprzedawał po 30 złr. za sztukę. Komisarz Starostwa p. Strzelecki, zjechawszy na miejsce z żandarmem, znalazł te podrabiane dokumenta i uwięził Baśladyńskiego, u którego przy rewizyi znaleziono także korespondencyę jakiegoś Jana Gerleta z Udine (we Włoszech), przyrzekającą wychodźcom bezpłatną przeprawę do Ameryki.

— **Bratobójstwo.** W Leśniowicach, obok Lwowa, miał miejsce następujący, pełen grozy wypadek. Dnia 12 maja o godzinie 6-tej wieczorem, powrócił Trofym Staszków, 25-letni gospodarz, od roku żonaty, z targu w Szczercu. Toczył on już od dawna spór z rodziną o kawał gruntu, a owego dnia powróciwszy z targu, widocznie pod wpływem wódki, wyszedł na ogród i począł mierzyć sporny grunt, a odmierzywszy na swą korzyść około metr powierzchni, zatknął pal na oznaczenie miedzy. Starszy brat jego Damian Staszków, widząc to, wyszedł z chaty, a rozgniewany na brata, wyrwał ów kół, którym Trofym naznaczył miedzę i uderzył nim brata w okolicy ucha tak silnie, że Trofym padł na miejscu trupem.

Bratobójcę żandarmi aresztowali i oddali w ręce sprawiedliwości.

— **Burze i grady.** Z Horożany wielkiej koło Komarna donoszą: Okropna klęska nawiedziła Horożanę

i sąsiednie wsie. W samo południe 16 maja nadciągnęła z zachodu groźna chmura, rozszalała się burza a następnie spadł grad w takiej obfitości, że wszystko wyglądało tak biało, jak w zimie, a koło budynków leżały takie kupy gradu, że trzeba je było rozrzucać. Wszystkie zasiewy ozime i wiosenne i wszelka jarzyna zniszczone zupełnie. Nadto woda, prawdopodobnie z oberwania się chmury, spłukała wszystko. Drzewa z zieleni obnażone, mnóstwo ptactwa domowego zginęło. Bydło nie pójdzie przez parę dni na paszę, a jeść nie ma mu co dać. Ludzie łamią ręce. Powtórnie siać i późno, i nie ma co.

Z Krosna donoszą 17 maja. Podczas burzy, która dziś w południe tu szalała, uderzył piorun w woźnicę Janochę Jędrzeja, wiozącego ropę z kopalni „Potok,“ śmierć nastąpiła bezzwłocznie.

Z Rymanowa donoszą: We wtorek, dnia 10 maja około godziny 6 wieczorem, niepamiętna burza nawiedziła miasto nasze. W jednej chwili porobiła ona takie spustoszenia, iż uwierzyć niepodobna, aby wiatr potrafił coś podobnego dokazać. W swym szalonym pędzie burza zawaliła wielkie trzy budynki gospodarcze (gumna), silnie na murowanych słupach zbudowane, tak, że kamień na kamieniu nie pozostał; zwaliła dalej nowy budynek strażacki, powaliła kilka odwiecznych topoli nadwiślańskich, a nareszcie wśród miasta rozebrała jeden budynek i zerwała kilka dachów, unosząc je w powietrze. Największą szkodę poniosła hr. Potocka, właścicielka Rymanowa, chcąc bowiem przez burzę powalone budynki do pierwotnego stanu przywrócić, poniesie koszta do 10.000 złr.

— **Skok z pociągu.** Przed kilkunastu dniami z pociągu pospiesznego, który zdążał ze Lwowa ku Czerniowcom, nieopodal stacyi Łużany, wyskoczył z wagonu 3-ciej klasy młody mężczyzna, odziany porządnie. Pociąg był w pełnym biegu; odważny jednak uciekinier skoczył tak zręcznie, że zaledwie przez kilka sekund przeleżał w rowie, poczem wstał i udał się szybkim krokiem w pole.

Powodem niezwykłego skoku była okoliczność, że ów podróżny miał dopłacić kilkadziesiąt centów do biletu jazdy, mylnie nabytego, a drobnej tej kwoty nie posiadał. Ażeby uniknąć wstydu, umknął z pociągu z narażeniem życia.

— **Z Rzymu.** Dnia 21 kwietnia b. r. obchodził zakon księży Zmartwychwstańców 50-letnią rocznicę założenia. Zakon ten obchodzić nas musi dla tego, ponieważ Polacy go założyli i do dziś dnia prawie sami Polacy do niego należą. Założycielami jego byli: XX. Jański, Semenenko, Kajsiewicz, Hube, Kaczanowski. Ojciec św. nadesłał w rocznicę pismo zakonowi, w którem napisał, że dobrze się zasłużył Kościołowi św. Na pamiątkę rocznicy wmurowano tablicę w kościele Matki Boskiej z wizerunkami 5 założycieli. Tę tablicę poświęcił ks. kardynał Ledóchowski. Dnia 24 kwietnia odprawił ks. kardynał Parocchi, przyjaciel Polaków Mszę św. w kościele Zmartwychwstańców i przemówił następnie do zgromadzonych. Winszował Ojcom Zmartwychwstańcom, że umieli sobie w Rzymie, w stolicy chrześciaństwa zdobyć miłość i szacunek. „Znać was — tak powiedział — to znaczy: was kochać.“ U nas w Galicyi mamy dopiero dwa klasztory Zmartwychwstańców, to jest w Krakowie i we Lwowie. Niech Pan Bóg łaskawy zlewa swoje łaski na zakon, i pracy Ojców Zmartwychwstańców błogosławi!

— **Wypadek w sądzie.** Na posiedzeniu sądu okręgowego w Mohylewie na Podolu zdarzył się wypadek następujący: Sądzono sprawę włościanina Marka Wołoszczuka, obwinionego o ciężkie pobicie obywatela ziemskiego Wiktora Stępkowskiego, skutkiem czego ten po dwóch tygodnich życie zakończył. Z wezwanych 30 świadków żaden faktu przestępstwa nie udowodnił i skutkiem tego przysięgli uznali Wołoszczuka niewinnym i sąd go też uniewinnił. Gdy uwolniony Wołoszczuk wybiegł uradowany z sali sądowej na dziedziniec, zbliżyła się do niego siostra zmarłego Stępkowskiego i dobywszy z kieszeni rewolwer, z okrzykiem: „Zabiłeś mego brata — teraz ja ciebie zabiję!“ — wycelowała do Wołoszczuka, lecz trzęsąca się ręka odmówiła jej posłuszeństwa, a obecni tej sceny świadkowie rozbroili Stępkowską, która — jak powiadają — chciała popełnić zbrodnię w przystępie obłędu.

Rozmaitości.

Czarnoksięstwo. Pewien dworzanin królewski w Krakowie wiedział, że towarzysz jego choruje na ten nierozum, iż ma wielką do czarnoksięstwa ochotę. Porozumiał się więc z babą, która pod zamkiem królewskim garnki iłżeckie sprzedawała, żeby za zapłatę potłukła je wszystkie kijem, skoro on z okna da jej znak chustką. I ukazał jej okno, w którem miał stanąć, a znakiem miała być chustka rozpostarta i z ręki wisząca.

Poszedłszy na zamek, chodził po sieni, czatując na owego towarzysza, który też przyszedł niebawem. Powiedziawszy dzień dobry, począł pytać towarzysz, czemu do komnaty nie wchodzi, na co mu ten tak odpowiedział:

— Niema po co, bo król jegomość jeszcze w komnacie, ani tak prędko z niej wynijdzie. Chodźmy sobie raczej do okna.

I poszli do okna, a stojąc w niem rozmawiali z sobą o czarnoksięstwie.

Towarzysz ów, który na czarnoksięstwo taką miał oskomę począł wychwalać tę naukę, powiadając, nie masz lepszego, nad nią na świecie, i żałował, że się natenczas nie urodził, kiedy jej w szkołach krakowskich publicznie uczono.

— Cobyś dał — rzecze drugi — gdyby znalazł się taki, któryby chciał cię jej nauczyć?

— Dałbym — odpowie — sto i dwieście złotych i więcej nawet.

Na to rzekł mu dworzanin:

— Gdybyś tylko dotrzymał słowa i tajemnicy, powiedziałbym ci o takim, co uczył się u Twardowskiego i tyleż umie, co i tamten umiał, i nauczyć potrafi.

Towarzysz zaklął się na Boga żywego i podał rękę, obiecując na słowo uczciwości, że nikomu na świecie o tem nie powie i takiego człowieka nie wyda.

— A to ja, widzisz — powiada drugi — jestem uczniem Twardowskiego i więcej mogę cię nauczyć, niż ci się zdaje, tylko dotrzymaj mi słowa.

— Oho! — odrzekł pierwszy — nie takbyś ty się miał, gdybyś znał się na tej sztuce.

— Nie potrzeba wiele, wnet pokażę ci, czy co umiem. Rozkaż mi co dziwnego uczynić, a zobaczysz, czy prawdę mówię, czy też kłamię. A jeśli chcesz, jedne rzecz zrobię. Widzisz tę niewiastę, co garnki sprzedaje? Skoro kilka zaklęć odmówię, wszystkie te garnki kijem potłucze.

Towarzysz dowodził, że tego nie dokaże, więc założyli się o 300 czerwonych złotych.

Mniemany czarnoksiężnik, obróciwszy się kilkakrotnie wkoło, począł mruczeć zaklęcia i kiedy niekiedy jakieś słowo głośniej wymawiać, aby drugi mniemał, że djabłów wzywa. Potem dobył jakiejś kartki pergaminowej, na której było kilka liter potwornie namalowanych i patrząc to w nią jak w tęczę, to znów na ziemię, rzekł:

— Patrzże teraz.

I spuścił nieznacznie chustkę tak, iż mu z ręki wisiała.

Baba widząc znak, chwyciła kij i poczęła tłuc owe garnki tak, iż je co do jednego wytłukła. Zdumiał się ów, co na to patrzył, a nie żałując wcale przegranych pieniędzy, obiecał być jego uczniem i dać tyle, ile przekazał.

Tegoż dnia ów co wygrał pieniądze, królowi wszystko opowiedział.

Nazajutrz król z owym dworzaninem, który przegrał zakład, wszczął rozmowę o czarnoksięstwie i dał mu poznać, że chciałby mieć takiego człowieka, któryby znał się na niem. Dworzanin zapomniawszy o przysiędze, a sądząc, że tem królowi wielce się przysłuży, wskazał towarzysza swego jako biegłego w tej nauce i opowiedział całą historyę o garnkach.

Król kazał go zawołać do siebie i rzekł mu stojąc w oknie i patrząc na babę, która już nowe garnki sprzedawała.

— Słuchaj, możebyś co znowu zrobił z nauki czarnoksięskiej, chociażby to, żeby ta baba znowu garnki potłukła.

— Miłościwy królu — odrzekł zagadnięty — musiałbym znowu z nią się zmówić.

Słysząc to dworzanin, który przegrał i poznawszy po śmiechu, że król wie o wszystkiem, zawstydził się wielce i od tego czasu dał pokój czarnoksięstwu, bojąc się, aby mu się co gorszego nie wydarzyło.

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 31 maja.

Płacono: za pszenicę białą od 9 złr. 90 ct. do 10 złr. 25 ct., za czerwoną od 9 złr. 50 ct. do 10 złr. 10 ct., za żółtą od 9 złr. 50 ct. do 10 złr. 10 ct., za żyto od 8 złr. 50 ct. do 9 złr. 20 ct., za jęczmień browarny od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. — ct., na kaszę od 7 złr. — ct. do 7 złr. 25 ct., za owies od 6 złr. 75 ct. do 7 złr. 15 ct., za koniczynę czerw. od — złr. do — złr., za białą od — złr. do — złr. Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god	min.	god.	min.
5	*Nied. Zeslanie Ducha św.* Florencyi.	3	54	8	2
6	Pon. *Swiąteczny.* Norberta opata.	3	54	8	2
7	Wt. Roberta bisk. i Sabiny.	3	53	8	3
8	Śr. *Suchedni.* Medarda bisk. wyzn.	3	53	8	3
9	Cz. Felicyana męcz.	3	53	8	4
10	Piąt. *Suchedni.* Małgorzaty kr. sz. 🌝	3	52	8	5
11	Sob. *Suchedni.* Barnaby Apost.	3	52	8	6

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Marceli Dziurzyński.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.